

Wróciłam z emigracji, bo tu jest mój dom!

Wyjechały z Polski, by odmienić swój los. Wracały z lękiem w sercu, niepewne przyszłości, choć bogatsze o nowe doświadczenia. Dziś są szczęśliwe, że u siebie, wśród bliskich, mogą spełniać swoje marzenia. • **Katarzyna Jabtonowska, Ewa Ptak**



Maria Biernacka z Wesolej pod Warszawą, 29 lat. Wyjechała do Irlandii z mężem, będąc w ciąży. Wróciła, gdy córeczka miała iść do szkoły. Prowadzi sklep papierniczy.

Maria i jej mąż Paweł zarobili w Dublinie pieniądze zainwestowali w sklep. Dziś są dumni z rodzinnego biznesu.



Jeszcze w Irlandii, z córeczką Ewą, ale już myślami w Polsce.

Kochałam Irlandię, ale dzieci chcemy wychowywać w kraju

Rok 2006. Byłam w ciąży. Rodzice męża mieszkali w Irlandii. Mieli tam dobrą pracę. „Przyjedźcie! Tutaj urodzi się wasze dziecko. W tym kraju są wymarzone warunki dla młodych matek” – namawiali nas. Wynajęli nam dwupokojowe mieszkanie na start. Pamiętam, jak już z widocznym brzuszkiem wsiadałam razem z mężem

na pokład samolotu. Patrzyłam jak Boeing wzbija się w przestrzeń, a za oknem zostaje cały mój świat – podwarszawskie miasteczko, domy przyjaciół, wszystko, co kochałam i znałam. Żadne z nas nie wiedziało, kiedy wrócimy. I czy w ogóle wrócimy.

Irlandia przywitała nas deszczem. Dublin mnie jednak urzekł. Stylowe kamieniczki, piękne par-

ki... I cała masa Polaków na ulicach. Na wyciągnięcie ręki nadmorskie klify, góry i ocean.

Nasza córka Ewa urodziła się w irlandzkim szpitalu. Byłam zachwycona lekarzami, opieką, jaką nad nami roztoczyli. Ja mówiłam po angielsku, a Paweł lepiej niż ja rozumiał Irlandczyków. Mogliśmy się dogadać najlepiej, kiedy byliśmy razem.

Dokładnie w dniu, kiedy nasza córeczka pojawiła się na świecie, Paweł dostał pierwszą pracę. „Córka przyniosła mi szczęście” – cieszył się.

Nieważne, że ta pierwsza praca to stoisko warzywne w supermarkecie. Nieważne, że pensja minimalna. Ja dostałam dodatki na dziecko i żyło nam się dobrze. „Przerzucam skrzynki z marchewką i co z tego?” – śmiał się Paweł.

Po roku znalazł lepszą posadę – w stolarni. Ja odchowałam córeczkę i też poszłam do pracy na pół etatu. Jeszcze w Polsce pomagałam rodzicom prowadzić rodzinny sklep papierniczy. Tu też

zależało mi na pracy, w której jest kontakt z ludźmi.

Pierwsze moje miejsce zatrudnienia – sklep zabawkarsko-papierniczy. Lepiej trafić nie mogłam. Podpatrywałam szefów, koleżanki. Urzekła mnie otwartość Irlandczyków. Tu każdy miał czas, zagadał, uśmiechnął się. Sprzedawczyni, która burknie coś pod nosem? Niemożliwe. Towar idealnie prezentowany na półkach – firmami, a nie jak u nas. Kredki obok kredek, farby obok farb. Stać nas było na wszystko – co tydzień mogliśmy sobie coś kupić – kurtki, nowe buty. I jeszcze odłożyć.

Po czterech latach czuliśmy się w Dublinie prawie jak w domu. Urodził nam się syn Łukasz. Ale

„To czego się nauczyłam tam, wykorzystałam we własnej firmie. Wciąż się rozwija.”

chciałam, żeby córka miała kiedyś takich znajomych. Wolałam już te zwyczajne polskie dzieci z przedmieść Warszawy.

Po prawie pięciu latach pobytu w Irlandii podjęliśmy z mężem decyzję i kupiliśmy bilet do Warszawy! Rok temu wróciliśmy do kraju na stałe.

Natychmiast obdzwoniliśmy wszystkich naszych znajomych. I tu zaskoczenie. Jedni się przeprowadzili, inni powyjeżdżali za granicę... Polska, do której wróciliśmy nie była już ta sama! Nagle

mimo tego wszystkiego tęskniłam za Polską, coraz częściej śnił mi się dom, w którym się wychowałam, sklep rodziców. Chcieli przejść na emeryturę, przenieść się na Mazury. A co wtedy z rodzinnym biznesem? Inwestowali w niego tyle lat! Dbali o niego, rozwijali. Wiem, że liczyli, iż kiedyś z Pawłem przejmemy po nich sklep.

Nasza córka miała cztery lata i trzeba było ją przygotować do pójścia do szkoły. Tam dzieci zakładają tornistry w wieku 5 lat. Szkoły w Irlandii nie są w Polsce honorowane. Musiałaby chodzić do dwóch – polskiej i irlandzkiej. Byłaby na lekcjach nawet w weekendy. Ewa była kruchutka, dziecinna jeszcze. I ta irlandzka młodzież. Ludzie starsi cudowni, ale młodsze pokolenie wychowane w dobrobycie? Myślę, że im wszystko wolno. Nie szanują nikogo. Nie



OPINIA EKSPERTA

Anna Owczarska-Osińska psycholog, w ośrodku naukowo-terapeutycznym „Ogrody Zmian” zajmuje się m.in. Polakami wracającymi z zagranicy

Jak pomóc bliskim odnaleźć się w kraju

Niewielu zdaje sobie sprawę, jak trudny może być powrót do kraju po latach emigracji. Po dniach przywitania, odwieczając, przychodzi codzienność. Osoby powracające często mówią o braku zainteresowania najbliższych tym wszystkim, co przeżyły na emigracji, o braku zrozumienia dla ich doświadczenia. **Tymczasem one oczekują od rodziny wsparcia. Bo to bliscy dają im siłę do działania. Jak należy to wsparcie okazywać?**

- Jeszcze przed powrotem powinny wiedzieć, jak bardzo są oczekiwane przez rodzinę i że ich dawne miejsce w domu nie jest zajęte.
- Należy dużo z nimi rozmawiać, dzieląc się wzajemnie swoimi doświadczeniami. To zmniejsza poczucie ich

osamotnienia, izolacji, buduje nową więź z bliskimi.

- Trzeba uszanować niezależność reemigranta, pamiętając, że sam musiał dawać sobie radę daleko od domu.
- Często problemy rodzinne istniejące przed wyjazdem po powrocie stają się jeszcze większe, np. relacje z rodzeństwem, rodzicami, kryzysy małżeńskie. Trzeba wspólnie próbować je rozwiązywać. **Emigracja uświadomiła wielu, jak ważne są dla nich polskie wartości, pozwoliła uwierzyć w siebie.** Ta wiara, niezależność finansowa i znajomość obcego języka sprawiają, że wracający nie boją się wyzwania. Przy dużym wsparciu rodziny mają szansę osiągnąć to, o czym wcześniej nawet nie marzyli.

okazało się, że więcej przyjaciół mamy teraz w Irlandii. I to do nich tęsknimy. Po latach emigracji człowiek jest trochę tak, jakby był znikąd. Rozdarty, nigdzie nie czuje się już do końca u siebie.

Nigdy jednak nie żalowałam decyzji o powrocie. Mieliśmy cel. Wiedzieliśmy po co i do czego wracamy. Odłożone pieniądze zainwestowaliśmy w sklep rodziców. Wynajęliśmy większy lokal.

Zrobiliśmy remont od podstaw. Paweł sam zajął się półkami. Sprowadziłam nowocześniejsze produkty. Wszystko, czego się nauczyłam podczas pracy na zachodzie, wykorzystałam we własnym biznesie. Dziś z dumą patrzę na to, co udało nam się z mężem dokonać. Nasz sklep się rozrasta, robi się coraz bardziej nowoczesny. I jest mój. Tam, w Dublinie, mogłabym być w nim tylko ekspedientką.

Gdy masz dzieci, trzeba dokładnie rozważyć za i przeciw

Marysia Biernacka: Decyzji o powrocie nie można podejmować pod wpływem chwili, emocji. Dokładnie należy rozważyć wszystkie za i przeciw – patrzeć długoterminowo. Trzeba zastanowić się, co zyskają i co tracą nasze dzieci, dziadkowie, słowem cała rodzina. Dużo wcześniej należy

zabezpieczyć sobie pieniądze na przyjazd do kraju, bo przecież w Polsce będziemy zaczynać wszystko od nowa. Poza tym prowadzenie biznesu to głównie inwestycje, na zyski można liczyć dopiero po wielu miesiącach albo latach. Mnie pomogła wiara, że pobyt w Irlandii pomoże mi zbudować własny biznes

w Polsce, i że w ten sposób spełnię także marzenie rodziców. Zawsze wolałam być właścicielem nawet skromnej firmy niż pracować w najbogatszej. Żeby uniknąć rozczarowań, trzeba pamiętać, że świat się zmienia, nasi znajomi także. Na takie niespodzianki też trzeba być gotowym...





Małgorzata Medwecka z Podhala, lat 72. Wyjechała do Chicago, gdy miała 58 lat. Przez 9 lat pracowała jako opiekunka. Wróciła, by na emeryturze żyć pod Tatrami, z dziećmi i wnukami.

Z córką Magdą świetnie się rozumieją. Mieszkają razem w domu wyremontowanym za zarobione przez Małgorzatę pieniądze.



Małgorzata lubiła spacerować po Chicago. Od początku wierzyła, że sobie poradzi.

Zostawiłam Chicago, bo na emeryturze chcę być z rodziną

Marzec 1998 rok. Samolot lecący do Chicago kołował na lotnisku. Siedziałam w fotelu i płakałam. Miałam 58 lat, nie znałam słowa po angielsku. Na lotnisku żegnała mnie czwórka moich dzieci. Tak jak ja w oczach miały lzy. Magda, najstarsza, była już dorosła, samodzielna. Ale pozostała trójka to nastolatki.

Nie miałam wyjścia. Problemy finansowe naszej rodziny były już tak wielkie, że potrzebne było radykalne rozwiązanie. Kilka lat wcześniej z Podhala przeprowadziliśmy się na wieś pod Opolem. Inflacja zjadła nasze oszczędności. Inwestycja w biznes nie wypaliła.

Robiłam, co mogłam. Choć jestem plastykiem, miałam się każdego zajęcia. Ale było coraz gorzej. Zimą 1998 roku spotkałam znajomą. „Nie polecałabyś na pół roku zamiast mnie do Stanów? Potrzebna opiekunka starszych osób” – spytała mnie zniechęcona. „Ja nie mogę lecieć. Szkoda tej posady” – tłumaczyła.

Moje dzieci chciały iść na studia. Były takie zdolne. A mnie nie

było na to stać. „Może polecę na kilka miesięcy” – mówiłam sobie. Pamiętam, jak szłam ulicami Chicago z jedną walizką w ręku. Nowy, kompletnie inny świat. Wiedziałam, że muszę sobie poradzić. Nie miałam wyjścia.

Moja pierwsza praca. Starsze polskie małżeństwo, którym miałam się opiekować. Znajomość angielskiego nie była mi potrzebna. Ale i tak tuż po przyjeździe zapisałam się do szkoły językowej. Starsi ludzie polubili mnie, nie chcieli, bym wracała do kraju. Podjęłam kolejne wyzwanie. Nigdy nie jeździłam autem, a tu w Chicago zapisałam się na kurs,

zdobyłam prawo jazdy i kupiłam sobie pierwszy w życiu samochód.

Minął rok, półtora, potem dwa. Dzieci wysyłały mi z Polski swoje zdjęcia. Karolina pod Uniwersytetem Warszawskim, z teczką książek. Magda z nowym partnerem. Janek już student. I Basia z tatą w Opolu. Serce mi pękało, gdy patrzyłam na te fotografie. Nie mogłam dzieci przytulić, dotknąć. Rozmowy na skypie i potworne rozdarcie. Ale wiedziałam, że tylko będąc tam mogę im pomóc.

Zarabiałam coraz lepiej. Po czterech latach wzięłam kredyt i kupiłam mieszkanie. Nim się obejrzałam minęło dziewięć lat.

Moje życie było już tam. Przyjaciele, znajomi. Dawno przekroczyłam 65 lat i osiągnęłam polski wiek emerytalny. Ale coraz częściej w nocy śniły mi się Tatry, w których się wychowałam. Na emeryturze żyć na Podhalu – to było moje największe marzenie.

Z pomocą przyszła mi najstarsza córka Magda. Wyszła za mąż. Urodziła córeczkę. Chcieli z mężem kupić drewniany dom na południu Polski. Brakowało im pieniędzy. Zaproponowali, żebym się dołożyła i zamieszkała z nimi. Nie wahałam się ani chwili. „Dość tułaczki” – powiedziałam sobie. „Sprzedaję chicagowskie mieszkanie i wracam do Polski”.

Po dziewięciu latach wylądowałam na lotnisku w Warszawie. Zobaczyłam moje dzieci i wzruszenie odebrało mi mowę. Magda była już dojrzałą kobietą, z córeczką na ręku. Pozostała trójka? Dorośli młodzi ludzie. Po studiach, na stanowiskach. Tylko najmłodsza Basia, która ma zespół Downa niewiele się zmieniła. Łzy płynęły mi po policzkach strugami.

Dom stoi na zboczu góry. Wokół puste pola, słychać tylko wiatr. Pokochałam to miejsce od razu. Góra domu jest moja i Basi. Dół – rodziny Magdy. Widzę, że moja tułaczka miała sens. Znowu mam bliskich przy sobie! Już niczego więcej do szczęścia nie potrzebuję.

Kiedy po nocach śni nam się kraj, pomyślmy o powrocie



Małgorzata Medwecka: Nadchodzi moment, gdy trzeba dokonać życiowego bilansu i zdecydować, co jest dla nas ważniejsze – pieniądze czy rodzina. Gdy uznamy, że bliscy, trzeba pozamykać za sobą wszystkie sprawy. Warto sprawdzić, czy po latach płacenia podatków na emigracji

nie mamy prawa starać się tam choćby o cząstkową emeryturę. Przed powrotem radziłabym też wypytać rodzinę o zmiany w Polsce – przepisy, ceny itp. Łatwiej wtedy zaczynać nowe życie. W sytuacjach trudnych, nie rozważajmy, co by było, gdybyśmy zostali. Uznajmy swoją decyzję za nieodwołalną.

Fot.: G. Marciniań (6)

Poznałam dobrze angielski, teraz w Polsce mogę uczyć innych

Małgorzata Kowalczyk

z Katowic, 27 lat, wyjechała do Irlandii, by zarobić. Tam zrozumiała, że pieniądze to nie wszystko. Nauczyła się angielskiego, co pozwoliło odmienić jej życie w kraju.

Centrum Katowic. Szary, odrapany budynek. Popękany chodnik na ulicy – tu się urodziłam i wychowałam – Małgorzata pokazuje palcem okna na drugim piętrze. – Mnie i moją starszą siostrę Magdę wychowywała tylko mama, ekspedientka w spożywczaku. Nieba by nam uchyliła, ale i tak żyło się nam ciężko.

Rejonowa podstawówka, gimnazjum... – Małgosia macha lekceważąco ręką. – Poziom nauczania tragiczny. Do matury przystępowałam dwa razy. Przeszłam wierzyć w siebie. Zaczęłam myśleć, że jestem mało zdolna.

Po liceum znalazłam pracę w sklepie. Nadgodziny bez wynagrodzenia, wiecznie wściekła szefowa i pensja niewiele większa od zasiłku... Właśnie wtedy spotkałam przyjaciółkę z podstawówki. Opowiadała, że jest w Irlandii, pracuje w fabryce. Oznajmiła nagle: „Przyjeżdżaj do Dublina!”.

Wyjechałam w październiku 2005 roku. Zatrzymałam się u koleżanki, która zachęciła mnie do wyjazdu. Pracę znalazłam nazajutrz po przyjeździe. – W kuchni – wspomina Małgosia. – Miałam przygotowywać jedzenie do dalszej obróbki – myć warzywa, owoce, rozmrażać mięso itd.

Po dwóch miesiącach wynajęłam pokój. Do kraju słałam pieniądze matce i siostrze. Zarabiałam niewiele, jak na Irlandię, ale w Polsce te pieniądze były ogromne. Po roku wynajęłam mieszkanie w poddublińskiej miejscowości. Miałam mnóstwo znajomych, ale większość to Polacy. Po roku



Kilka miesięcy temu Małgosia nawet nie zdawała sobie sprawy, że uczenie angielskiego może sprawiać jej tyle przyjemności.

czułam, że żyję w polskim getcie. Znalazłam dobrą szkołę językową. Dwa i pół roku intensywnej nauki

„Irlandia dała mi odpowiedź na pytanie, czego w życiu chcę naprawdę.”

wystarczyło, żeby pozdawać kolejne e g z a m i n y, zdobyć certyfikaty potwierdzające dobrą angielszczyzną. Dostrzegł to też mój szef, który pozwolił mi stanąć przy barze w jednym ze swoich pubów, a po-

tem mianował menadżerką sali – opowiada Małgosia. – Moje zarobki skoczyły. Stać mnie było na jeszcze więcej, ale czegoś ciągle mi brakowało. Miałam chłopaka Irlandczyka – Danny’ego, ale on nie dawał mi poczucia bezpieczeństwa. Czas mijał mi na pracy, wydawaniu pieniędzy na zachcianki i... nostałgii. Coraz bardziej dusiłam się w mojej irlandzkiej złotej klatce.

Wigilia 2011 r. Byłam chora. Usiadłam nad zamówionym w chińskim barze daniem i popła-

Poszukiwania pracy zacznijmy przed powrotem do kraju



Marzena Kowalczyk:

Prawda jest okrutna – tylko nieliczni, wracający z zagranicy mogą liczyć od razu na dobrą posadę w kraju. Dlatego trzeba dostosować swoje oczekiwania do możliwości rynku pracy. Unikniemy dzięki temu frustracji. Dobrze, jeśli poszukiwania zacznijemy przed powrotem, wysyłając



Małgosia wreszcie uwierzyła w siebie i nie widzi już swojej przyszłości w czarnych barwach.

kałam się. Brakowało mi rodziny, przyjaciół. Wszyscy zostali w Katowicach. Tam nie umiałam żyć, bo nie miałam z czego. Tu miałam z czego, ale nie miałam z kim. Właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że wszystko się zmieniło. Że przecież mogę mieszkać w Polsce i godziwie na siebie zarobić. Ucząc angielskiego!

W Nowy Rok wysłałam e-maile do kilku szkół językowych. Odpowiedziały dwie, jedna skierowała mnie do agencji korepetytorów, która szukała ludzi znających języki. Pozamykałam irlandzkie sprawy i wróciłam do Polski.

Na początku lutego miałam już pierwszych uczniów – sześcioro dzieci. Nie mogłam uwierzyć, że nauka języka to taka łatwa i przyjemna praca. Mam jej coraz więcej. W maju kupiłam 27-metrowe mieszkanie. Myślę o studiach anglistycznych.

Znajomość języka dała mi pewność siebie, Irlandia odpowiedzieć na pytanie, czego w życiu chcę naprawdę – bliskości z tymi, których kocham, świadomości, że żyję nie tylko dla siebie. Od miesiąca spotykam się z fantastycznym mężczyzną. Czuję, że coś z tego będzie.



Londyn ją zachwycił, ale nigdy nie chciała zostać w Anglii na stałe.



Marzena ma coraz więcej klientek. Doceniają jej wiedzę i umiejętności.

Marzena Borysiewicz

z Białegostoku, 28 lat. Wyjechała do Londynu po maturze. Zaczynała od sprzątania, skończyła, pracując w znanym, ekskluzywnym salonie stylizacji. To tam zrodziło się jej marzenie, by powiew wielkiego świata przenieść do rodzinnego miasta.

Tam zdobyłam doświadczenie, tu mogę je wykorzystać

Kolejny raz patrzyłam na trzymane w dłoni świadectwo maturalne. Byłam u progu dojrzałego, samodzielnego życia, ale czułam, że tu w Polsce to samodzielne życie jest dla mnie nieosiągalne. Bezrobocie, brak perspektyw... – wspomina Marzena. – A studiowanie okazało się dla mnie zbyt drogie. Tę smutną wizję podzielał mój, wtedy jeszcze chłopak, Piotr. Oповідаł o kuzynie, który wyjechał do Londynu i świetnie sobie radzi. Wymyślił, że i my musimy spróbować szczęścia na Wyspach.

Spakowałam podstawowe rzeczy, a kilka godzin później spacerowałam już londyńską Oxford Street. Zachłusnęłam się klimatem Londynu, choć musiałam od razu ostro wziąć się do pracy. Piotr załapał się do brygady remontowo-budowlanej, ja zaczęłam zarabiać sprzątaniem i uczyłam się języka. Dostałam się na bezpłatny kurs angielskiego dla cudzoziemców. Wkrótce założyłam jednoosobową firmę sprzątającą. I gnało mnie dalej.

Dowiedziałam się, że jeden z ekskluzywnych salonów stylizacji w prestiżowej dzielnicy Chelsea szuka pracowników do działu obsługi klienta. Pracowała tam moja znajoma, która właśnie się

zwolniła. Pobiegałam złożyć CV. Do salonu przy King's Road przechodzili dobrze sytuowani i znani londyńczycy. Doradzaliśmy im w doborze stroju, galanterii, a potem, we współpracy ze znanymi stylistami, także fryzury i makijaż. Było to takie „centrum kreacji wizerunku”. Przekonywałam londyńskie artystki i przedstawicieli show biznesu do swoich pomysłów na ich nowy wygląd. To pozwalało mi rozwinąć wyobraźnię, oswoić się z najnowszymi, ale i tradycyjnymi trendami w modzie. Miałam przyjemność doradzać, m.in. Kate Middleton, obecnej żonie księcia

Williamsa. Wpadała do nas sama albo z mamą i siostrą.

Z coraz większym zachwytem patrzyłam na to, co robią obok koledzy – wybitni styliści fryzur. Wpadałam do nich na sesje fotograficzne i reklamowe. Uczylałam się, jak przygotować włosy do podcięcia, jak je koloryzować, układać. Odwiedzałam salony firmowane największymi nazwiskami w świecie fryzjerstwa. Toni & Guy, Vidal Sassoon, Nicky Clarke... Odkrywałam ich styl, wertowałam książki i magazyny z ich pracami.

Ale oboje z mężem, zdążyłam już wyjść za Piotra, coraz bardziej tęskniliśmy za krajem. By-

łam pewna, że po powrocie do Polski, będę mogła sama doradzać kobietom, co mają zrobić, by pięknie wyglądać.

Moje plany trochę jednak zmodyfikowałam, bo trzy lata temu urodziłam córkę. Na jakiś czas odłożyłam skok na głęboką wodę. Odchowałam już Oliwkę, gdy znajoma zaproponowała mi pracę w salonie stylizacji fryzur. Byłam gotowa pracować nad wyglądem klientek także w ich domu. Zdobywałam je powoli, ale gdy któraś do siebie przekonałam, zawsze wracała do mnie.

Cieszę się, bo właśnie dostałam unijną dotację na rozwój własnej firmy. Pozwoli mi ona rozwinąć skrzydła. Nie tęsknię za Anglią. Ściągnęłam ją sobie do siebie, do Białegostoku.

„Dostałam unijną dotację na rozwój firmy. Anglię mam już u siebie.”

Podjmując decyzję o powrocie kierujemy się rozsądkiem



Marzena Borysiewicz:

Przy podejmowaniu decyzji o powrocie najlepiej kierować się nie tylko emocjami, ale i chłodną analizą sytuacji. Warto zrobić bilans strat i zysków. Mój rozkładał się po równo, więc ustaliłam, co jest dla mnie najważniejsze w dalszym życiu. Dostałam do wniosku, że rodzina i ro-

bieenie tego, co naprawdę lubię. Nie wyobrażałam sobie wychowywania dzieci w Anglii: w wiecznym pędzie i bez bliskich wokół. Wolalam też sama gonić za marzeniami, niż stać w miejscu, modląc się o awans w pracy i dobrą ocenę pracodawcy. Gdy uwierzyłam w siebie, wybór stał się o wiele łatwiejszy.